

Zdziecinniała Polska Platformy - Dariusz Gawin w Gazecie Wyborczej

Gazeta Wyborcza, 26.01.2008

Gazeta Wyborcza, 26.01.2008

Zdziecinniała Polska Platformy

Rozmowa z Dariuszem Gawinem

Krytycy III RP, wykonując w latach 90. wielką pracę intelektualną, sięgali do Platona i Arystotelesa, do współczesnych teoretyków liberalizmu, demokracji, filozofii politycznej. A krytyka IV RP sprowadzała się do tego, że porównywano Jarosława Kaczyńskiego do Gomułki. Z całym szacunkiem - to intelektualnie bardzo płytki concept

Rafał Kalukin: **O co Polacy spierali się przez ostatnie dwa lata?**

Dariusz Gawin: Początkiem sporu była afera Rywina. Spieraliśmy się o ocenę III Rzeczypospolitej. To, że III RP była wielkim sukcesem, nie ulega wątpliwości - odzyskaliśmy przecież niepodległość i zbudowaliśmy normalną demokrację. Ale czy wywiązała się ona z obietnicy modernizacyjnej?

W XX wieku Polska zaczynała się trzy razy - w 1918, 1944 i 1989 r. - i za każdym razem składała nową obietnicę modernizacji. W II RP realizacja tej obietnicy przebiegała dobrze, ale została przerwana nie za naszą sprawą. Polska Ludowa też dosyć długo się z niej wywiązywała. Zaczynała jako państwo totalitarne, ale dzięki uruchomieniu mechanizmów modernizacyjnych w latach 60. i 70. stopniowo uzyskiwała akceptację społeczną. Potem to się załamało. Okazało się, że zastopowanie modernizacji w połączeniu z niedemokratycznym grzechem pierwotnym tamtego systemu wystarczyło, by PRL przestał istnieć.

Zresztą ta przejściowa akceptacja dla Polski Ludowej też była warunkowa. Jestem przekonany, że gdyby w PRL-u przeprowadzić wolne wybory - nawet w 1972 r., w szczycie gierkowskiej prosperity - to po kilkutygodniowej kampanii zwyciężyłyby siły demokratyczne.

Po II wojnie światowej w Polsce i tak dokonałaby się modernizacja, niezależnie od ustroju politycznego.

- Osiągnięto by wówczas dużo więcej. Mniejszy dystans dzieliłby nas

dziś choćby od Hiszpanii. Tak by się stało, gdyby III RP, która narodziła się w Warszawie w sierpniu 1944 r., rozlała się na cały kraj. Powstanie Warszawskie było bowiem nie tylko zrywem militarnym, ale i ujawnieniem się nowej Polski. Świadczą o tym Dzienniki Ustaw publikowane przez Państwo Podziemne, publicystyka z kręgu Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. To miało być nowoczesne państwo dobrobytu. Polska emigracja szukała wówczas sposobów na integrację europejską. Gdyby tamta RP zwyciężyła, bylibyśmy jednym z założycieli zjednoczonej Europy.

Niestety III RP zrodziła się dopiero w 1989 r. I też złożyła obietnicę modernizacyjną. Afera Rywina nie tylko była szokiem kulturowo-politycznym. Ona przede wszystkim zdezwuowała tę obietnicę.

Chodzi panu o to, że Polacy, oburzeni korupcyjną propozycją Rywina, postawili osiągnięcia III RP pod znakiem zapytania? Śmiała diagnoza!

- Dla klasy średniej istotna była obietnica merytokracji - rządów ludzi kompetentnych. Zamiast tego wyszły na wierzch struktury oligarchiczne. Ujawnienie ich zrodziło poparcie dla PiS-u i PO, które w tamtym czasie były połączone w diagnozie III RP jako państwa, które bardzo dużo osiągnęło, ale jego model modernizacji uległ już wyczerpaniu.

Pomijam trafność tego opisu, mówię tylko o rewolucji semantycznej, jaka się dokonała. O tym, jaki opis rzeczywistości przyjął się w opinii publicznej.

Mówimy o starciu dwóch wizji, ale ten spór toczył się w kręgach establishmentu. Dla "ludu" przewidziano zestaw kilku prostych haseł odwołujących się do zaszłości i resentymentów.

- To prawda, ale tak jest w każdej demokracji. Gdy politycy komunikują się z wielomilionowym elektoratem, zawsze pojawia się problem populizmu.

Obrońcy III RP przeoczyli, ile wysiłku intelektualnego włożono w krytyczną analizę modelu modernizacyjnego przyjętego w 1989 r. Bardzo wiele środowisk, które weszły potem do PiS-u albo PO, przez lata wydawało książki, zakładało pisma, prowadziło instytuty. Myślę np. o Warszawskim Klubie Krytyki Politycznej, o analizach publikowanych przez krakowski Ośrodek Myśli Politycznej czy tekstach zamieszczanych w liberalnym "Przeglądzie Politycznego", w "Res Publice" - bo i tam byli wtedy młodzi konserwatyści - albo w "Znaku" kierowanym wówczas przez Jarosława Gowina.

Te przedsięwzięcia obrońcy III RP traktowali z góry jako niszowe. Banalizowali je jako "wywracające porządek Okrągłego Stołu". A nam chodziło o coś znacznie poważniejszego - dyskusję o tym, jak ma wyglądać demokracja liberalna, polityka pamięci, czym ma być tożsamość zbiorowa, jakie jest miejsce Polski w Europie. Gdy wybuchła afera Rywina, konstrukcja polityczno-ideowa, która rodziła się przez kilkanaście lat, była już gotowa. Musiała tylko przedrzeć się do świadomości społecznej.

Nie dostrzegając wagi tej dyskusji, obrońcy III RP sami nie zauważyli, jak przekształcili się z krytycznych inteligentów w klasę średnią czy wręcz upper middle class broniącą swych interesów i pozycji. Co gorsza, utożsamiali te interesy z koniecznością dziejową. Wedle zasady: mamy rację, bo za nami stoi duch dziejów. A inni to warchoły albo wariaci.

Tego argumentu przedstawiciele pana formacji często używali. Służył dyskredytowaniu oponenta. Bo jeśli kieruje nim wyłącznie

chęć utrzymania przywilejów, to jego racje zostają unieważnione.

- Być może było to nadużywane. Ale krytykom modelu modernizacji III RP też odmawiano prawomocności intelektualnej.

Ten spór narastał przez lata, brakowało tylko iskry. Fala krytyki czekała na uruchomienie. Wyrażały ją PO i PiS, dwie konserwatywne partie wyrastające z ruchu solidarnościowego. A potem stało się coś tajemniczego, o czym moje pokolenie będzie dyskutować jeszcze bardzo długo - niczym pokolenie międzywojnia rozstrząsające, co takiego Piłsudski powiedział prezydentowi Wojciechowskiemu na moście Poniatowskiego w maju 1926 r. Jak to się stało, że po wyborach 2005 r. dotychczasowa dynamika polityczna nagle wyhamowała i narodził się spór polityczny między PiS-em i PO? Dlaczego nie powstał PO-PiS? Być może nigdy się tego nie dowiemy. PO-PiS już jednak nigdy nie powstanie.

Może odpowiedź tkwi w psychologii liderów? Znaczenie miało też pewnie i to, że PiS i PO, złączone w diagnozie III RP, reprezentowały jednak odmienne optyki modernizacyjne. PiS jest partią ludowo-konserwatywną, Platforma - konserwatywno-liberalną.

A może, mimo waszych wysiłków intelektualnych, wspólnota polityczna łącząca PO i PiS była pozorna? Może negacja III RP nie była wystarczającym spoiwem?

- Źródeł niepowodzenia PO-PiS-u szukałbym raczej na scenie politycznej. Po wyborach 2005 r. żartowano, że pewna sukcesu PO nie miała planu B na wypadek porażki, a PiS - planu A na ewentualność zwycięstwa. Wydaje się, że trudniej przyszło odnaleźć się w tej sytuacji Donaldowi Tuskowi i jego otoczeniu. Gdy na ekranie telewizora w wieczór wyborczy pokazały się słupki poparcia, dowiedzieliśmy się od

liderów PO, że PiS jest straszny. Potem to już działało jak samospełniające się proroctwo.

Kolejne dwa lata pokazały jednak wyraźnie, jaki jest stosunek Jarosława Kaczyńskiego do politycznych sojuszników.

- Ale to byli inni sojusznicy.

Sojuszników z PO traktowałby inaczej?

- To jest właśnie kolejny przykład myślenia typu: PiS jest straszny, bo jest straszny, i cokolwiek zrobi, to i tak udowodni, że jest straszny.

Nie do końca. Jeszcze na początku 2005 r. obóz zwolenników III RP z podobnym dystansem spoglądał na dążenia PO i PiS-u. I to raczej Platforma budziła nieufność, gdyż z przyczyn - jak się zdawało - koniunkturalnych nakręcała spiralę radykalizmu, głównie lustracyjnego. Co do PiS-u, czerwona lampka zapaliła się dopiero w kampanii wyborczej, gdy cynicznie rozegrano kartę resentymentu antyniemieckiego, a potem bez ceregieli zaczęto wprowadzać do głównego nurtu politycznego Radio Maryja. A w końcu ta nieszczęsna koalicja.

- My - traktuję tutaj siebie jako reprezentanta konserwatystów z lat 90.
- też nie byliśmy zachwyceni wzięciem do rządu narodowo-katolickiego LPR-u i populistycznej Samoobrony. Ale to wynikało z tego, że Platforma ani nie chciała stworzyć koalicji z PiS-em, ani nie godziła się przedwcześnie na wybory. Zagrała va banque. Było to bardzo ryzykowne dla kraju, ale efektywne dla samej Platformy. I opłaciło się jej, bo - zgodnie z jej kalkulacjami - PiS zapłacił bardzo wysoką cenę za koalicję z LPR-em i Samoobroną. Choć pozytywnym elementem tego układu jest to, że populiści zniknęli z polskiej polityki.

Dla was była to tylko taktyka Kaczyńskiego. A przecież PiS nobilitował najbardziej ordynarną twarz polskiego nacjonalizmu, szowinizmu, populizmu. Odkurzył resentymenty i kompleksy, które od czasów II RP zdawały się dogorywać na marginesie życia publicznego. I zrobił to z pełnym cynizmem.

- Najbardziej dyskomfortowe było to dla samych braci Kaczyńskich, inteligentów z "formacji żoliborskiej", którzy wychowywali się kilkaset metrów od domu Jacka Kuronia.

Cóż to za tłumaczenie, skoro Kaczyńscy sprzeniewierzyli się tej tradycji?

- Nie sprzeniewierzyli się. Oni instrumentalnie posłużyli się populistami.

I sami przejęli cały bagaż populizmu.

- Po owocach ich poznacie, zobaczymy gdzieś za dwa lata. Bracia Kaczyńscy bardzo nie lubią tradycji endeckiej, prezydent mówił to wielokrotnie. Oni zawiązali tę koalicję świadomie i zapłacili za to wielką cenę. Nazywanie ich nacjonalistami to grube nieporozumienie - u prezydenta w gabinecie wisi portret Piłsudskiego, lewicowego niepodległościowca, a nie nacjonalisty Dmowskiego.

Wróćmy do roku 2005. Co obejmowała wspólna wizja PO i PiS-u? To była sanacja państwa i podobieństwo do II RP nie było przypadkowe. PiS proponował sanację, czyli budowę sprawnego instrumentarium chroniącego państwo.

Przy użyciu środków autorytarnych, jak Piłsudski 80 lat

wcześniej?

- Gdy słyszę o środkach autorytarnych, ogarnia mnie pusty śmiech. Krytycy III RP, wykonując w latach 90. wielką pracę intelektualną, sięgali do Platona i Arystotelesa, do współczesnych teoretyków liberalizmu, demokracji, filozofii politycznej. A krytyka IV RP sprowadzała się do tego, że porównywano Jarosława Kaczyńskiego do Gomułki. Z całym szacunkiem - to intelektualnie bardzo płytki koncept.

To był chwyt retoryczny. PiS też nie przebierał w słowach.

- Ale to było jałowe intelektualnie. obrońcy III RP nie zastanawiali się poważnie, czym jest demokracja liberalna, czy ma jakieś wady. Maskowano to hasłem powrotu do normalności, czyli kontynuowania tego, co było. Parafrazując frazę używaną przez Gierka: odpowiedzią na krytykę III RP miało być jej "dalsze doskonalenie".

Wasz projekt "wielkiej zmiany" jawił się jako groźna utopia.

- Propozycje PiS-u nie były aż tak radykalne.

Przedstawiano je jako radykalną zmianę.

- Retorycznie tak. Ale w istocie to była raczej próba wprowadzenia zachodnich standardów demokratycznych. Mówił o tym z jednej strony Paweł Śpiewak, z drugiej Zdzisław Krasnodębski, Rokita mówił wtedy o konieczności "szarpnięcia cugłami". Chodziło o budowę normalnego państwa, jak w Niemczech, Francji czy nawet Hiszpanii. O państwo

silne, zdecydowane, potrafiące bronić własnych interesów na arenie międzynarodowej.

Ale IV RP mógł zbudować tylko PO-PiS. Sam PiS, z takimi koalicjantami, jakich miał, i przy tak wściekłych atakach PO i środowisk broniących III RP, nie miał na to szans. Poszedł więc w ostrą retorykę. I tak doszło do zimnej wojny domowej, która nie miała podstaw w rzeczywistości.

"Silne państwo" PiS-u niewiele miało wspólnego ze standardami zachodniej demokracji. Opierało się na centralizacji, odgórnej kontroli wielu dziedzin życia, redukcji pierwiastka obywatelskiego.

- Jest wiele modeli społeczeństwa obywatelskiego. Ono może być alternatywą wobec państwa, może też rozwijać się równoległe albo być jego uzupełnieniem. Nasza inteligencja przez ostatnie dwa lata posługiwała się pojęciem społeczeństwa obywatelskiego tak samo, jak w latach 80., gdy było ono odpowiedzią na PRL. Był to więc powrót do "antypolitycznej polityki", jak to ujmował Havel. Ale czy PRL i "straszne państwo PiS-u" były tym samym?

PiS zakładał, że państwo musi być silne, bo bez tego nie uda się przeprowadzić prawdziwej modernizacji. To państwo ma zbudować ramy dla aktywności obywatelskiej - stworzyć sprawne sądy, otworzyć dostęp do korporacji zawodowych.

Wszystko to można było osiągnąć bez ręcznego sterowania państwem i obsadzania jego struktur miernymi, ale wiernymi funkcjonariuszami partyjnymi.

- Bardzo bym się cieszył, gdyby konkluzja naszej rozmowy była taka, że

wszystko, co PiS zrobił źle, było kwestią stylu, a nie programu. Mielibyśmy wówczas przestrzeń do rozmowy o Polsce - bez tej logiki wojny domowej, bez słów o autorytaryzmie. Zresztą dziś ludzie sami zapominają, że nie tak dawno poważnie mówili o zagrożonej demokracji, o groźbie sfałszowania wyborów. Te argumenty są wypierane, tak samo jak kiedyś wyparto oskarżenia pod adresem rządu Olszewskiego, że szykował pucz wojskowy.

Owszem, większość sporów w minionych dwóch latach wynikała ze stylu sprawowania władzy przez PiS. Ale jaki był ten styl? Ciągłe wywoływanie konfliktów, brutalny język, narzucenie pewnego sposobu opowiadania o najnowszej historii Polski.

- To nie wzięło się znikąd. Na projekt PiS-u establishment odpowiedział buntem. Jawnie odmówił uznania moralnej prawomocności wyborów. To nie PiS, tylko właśnie establishment przyczynił się do demolowania demokracji jako systemu, w którym zwycięzca wyborów uzyskuje demokratyczną prawomocność do przeprowadzania zmian.

W 2005 r. werdykt wyborczy został powszechnie zaakceptowany. Jednak PiS dysponował mandatem wynikającym z poparcia raptem 3 mln wyborców, a uciekając się do rozmaitych sztuczek na pograniczu prawa niemal zmonopolizował całą władzę. Na końcu tej drogi stała próba ograniczenia roli Trybunału Konstytucyjnego.

- A Platforma ma dziś mocny mandat? Poparło ją 25 mln wyborców?

Dużo mocniejszy niż wtedy PiS. Poza tym ma koalicjanta szanującego reguły demokracji, inaczej niż koalicjanci PiS-u.

- Upieram się jednak przy stwierdzeniu, że kwestionowano radykalnie moralny mandat PiS-u do sprawowania władzy - i to było groźne dla kultury demokratycznej. Nie dostrzegano, że Kaczyński nie wpuścił populistów do resortów, które tworzyły rdzeń władzy państwowej - MSZ i służb specjalnych.

Zgoda, ale zarazem PiS pozbył się jakiegokolwiek kontroli nad resortami przekazanymi koalicjantom jak udzielne księstwa. Choćby nad edukacją, która dla formacji uważającej się za konserwatywną powinna być szczególnie ważna.

- Nie znam kulisów tej decyzji, zapewne Giertych domagał się tego właśnie ministerstwa. To kolejny straszliwy koszt tej koalicji.

Ale zostawmy tę dyskusję, bo mamy problem nawet z ustaleniem sekwencji faktów. Po tych dwóch latach widać wyraźnie, że utrzymuje się spór między dwiema partiami, które w 2005 r. razem szły do wyborów, by potem wejść w śmiertelne zwanie. Platforma chciała IV RP, ale zawarła sojusz z tą częścią inteligenckiego establishmentu, która popiera III RP. I dziś premier Tusk zapowiada, iż nie będzie posługiwał się liczebnikiem przy określaniu Rzeczypospolitej. To ważna deklaracja, bo pokazuje, jaka jest koalicja społeczna skupiona wokół Platformy. Tworzą ją zwolennicy i III, i IV RP. A przecież PO, podobnie jak PiS, chce IV RP - spór polega tylko na tym, jak ją zbudować.

A może istotą tego sporu nie jest wcale liczebnik? Może te cyferki przed Rzeczpospolitą to tylko kostium dla starego sporu między konserwatywną prawicą a liberalną lewicą?

- I tak, i nie. Patrzymy na te spory przez polski pryzmat, a warto spojrzeć na nie szerzej. Ludowo-konserwatywny PiS i konserwatywno-liberalna Platforma wyrażają pewne projekty i modele ideowo-polityczne funkcjonujące na Zachodzie. U nas przybrały one kształt dwóch partii centrowo-prawicowych. Tu leży wyjaśnienie, dlaczego w Polsce nie ma lewicy. PiS przejął niektóre tradycyjne funkcje lewicowe, ale - choćby z uwagi na stosunek do katolicyzmu - lewicą oczywiście nie jest.

Konflikt PO - PiS to dla pana szablon polskich sporów ideologicznych. Ale czy Platforma naprawdę jest stroną w tym sporze? Mam wrażenie, że partia Tuska z pełnym rozmysłem opuściła ten teren. Wzięła trochę z obozu III, trochę z obozu IV RP, podlała to gładkimi słowami o "normalności" i stworzyła nową postpolityczną jakość, wyzwalając Polaków z przymusu uczestniczenia w coraz bardziej dusznym konflikcie.

- Tak, to prawda - taktyka PO na dziś to stworzenie siły postpolitycznej. Ale czy jest to również strategia? Nie wiadomo. Od tego zależeć będzie przebieg wydarzeń w polskiej polityce w następnych latach. Mogę sobie wyobrazić, że postpolityczność PO to tylko oręż pozwalający bez strat dojechać do wyborów prezydenckich. Nie zdziwiłbym się, gdyby liderzy Platformy tłumaczyli sobie, że dziś nie mogą być prawdziwie liberalni, gdy jednak zdobędą pełnię władzy, będą mogli pokazać swój liberalizm.

Dzisiejsza PO to jednak inna partia niż w 2005 r. Dominują w niej gdańscy liberałowie. To partia bez Jana Rokity i Pawła Śpiewaka, z pozostającymi na uboczu Jarosławem Gowinem i Jackiem Saryuszem-Wolskim. Pozbawiona wyrazistego pierwiastka konserwatywnego skłaniającego się ku IV RP. Dlatego Tusk tyle mówi o normalności i miłości. I to wcale nie jest takie śmieszne, jak się na pozór wydaje. To w

pełni świadomie obrany model uprawiania post- bądź antypolityki. Po zwycięstwie wyborczym PO stała się bowiem partią klasy średniej, czyli - jak się dawniej mówiło - mieszczaństwa. A każdy, kto czytał "Moralność pani Dulskiej", wie, że cechą konstytutywną tej klasy jest hipokryzja. Platforma dostała kosmiczny kredyt hipokryzji, który wystarczy jej na długo. Mówienie o normalności i rządach miłości to nic innego, jak zręczna gra tym kredytem.

Gdzie pan dostrzega tę hipokryzję?

- W stosowaniu podwójnych standardów. Okazuje się, że gmina, którą przez wiele lat rządził prominentny polityk PO Zbigniew Chlebowski, jest na skraju bankructwa. I co? Nic, cisza. Gdyby dotyczyło to polityka PiS-u, o tej historii od rana do wieczora trąbiłyby media.

Być może. Proszę jednak pamiętać, że PiS - jak żadna inna partia - ustawiał na kluczowych stanowiskach dyletantów. Do decyzji kadrowych PO można mieć wiele zastrzeżeń, ale trudno sobie wyobrazić, by Tusk delegował do NBP "specjalistę" z magistratu.

- Platforma sięga za to po starych, dobrych specjalistów z czasów Millera.

Kilka tygodni temu Rokita mówił ciekawie w Fundacji Batorego o tym, co się teraz dzieje w Polsce. Wśród wielu klasyków myśli politycznej, jakich przywołał, znalazło się nazwisko Stanisława Brzozowskiego. I użył jego frazy z "Legendy Młodej Polski". Według Rokity w Polsce już nieraz pojawiały się momenty sprzyjające gwałtownym reformom i taki moment był w 2005 r. - ale, niestety, już minął. I weszliśmy - mówił Rokita za Brzozowskim - w fazę "Polski dziecięcej". Chodzi tu o mieszczańską niezdolność do stawienia czoła wielkim wyzwaniom. Dziennikarze w ogóle o tym nie napisali - ciekawe, prawda? Nie wiedzą,

kto to Brzozowski, czy mają uszy, ale postanowili nie słyszeć?

Mówienie przez Tuska o "normalności" to majstersztyk. Ludzie zapominają o realności wielu konfliktów. To z pewnością odpowiedź na poczynania PiS-u, który skrajnie przepolityzował politykę. Buduje się więc dziś konsensualność - pozorną bądź rzeczywistą - poprzez wyciszanie konfliktów. Jak długo można na tym jechać? Trzy lata w naszych warunkach to epoka. Wystarczy, że zdarzy się kryzys finansowy czy choćby powódź, która dziesięć lat temu zmiotła w wyborach SLD.

I wtedy znów odżyją spory o IV RP?

- Liberalno-lewicowa inteligencja nie dostrzega wielu istotnych przemian, które zaszły od afery Rywina. Po ostatnich wyborach poczuła się zwycięzcą, nie zauważając nawet, że jej dotychczasową rolę przejęła klasa średnia. To doniosły fakt, bo klasa średnia ma zupełnie inne potrzeby i inne sposoby opisywania rzeczywistości. Ten wielki sojusz lewicowej inteligencji z klasą średnią reprezentowaną przez PO oparty był tylko na wspólnym wrogu, na dążeniu do odsunięcia PiS-u od władzy.

"Gazeta Wyborcza" przysłała do PO i położyła na stole weksel. Platforma, idąc do wyborów, podpisała ten weksel. I lekko przepłaciła. Teraz Tusk bierze go do ręki i mówi, że nie za bardzo sobie przypomina, że podpisał, a ten podpis jakiś niewyraźny. Obserwowaliśmy to już przy okazji dyskusji o in vitro. "Gazeta" domagała się powrotu do norm kulturowych z początku lat 90. i z zaskoczeniem odnotowała, że PO wcale tego nie pragnie. A to dopiero początek rozczarowań.

Kolejnym symbolem nowych czasów są wydarzenia w "Tygodniku Powszechnym". Pismo kupiła grupa ITI, właściciel TVN, a do redakcji weszła nowa, młoda ekipa, która doprowadziła do odejścia pokolenia

Krzysztofa Kozłowskiego. I to się dzieje w obozie zwycięzców! W każdym normalnym kraju doniesienia o tym konflikcie nie schodziłyby z pierwszych stron opiniotwórczych gazet.

Nie przesadza pan?

- Ani trochę. W "bezliczebnikowej" Rzeczypospolitej głównym rozgrywającym stał się ITI - i szerzej: media elektroniczne. ITI pełni dziś taką rolę, jaką w III RP pełniła Agora. To wielka zmiana, której znaczenie dopiero zostanie dostrzeżone. Dyskursy "Gazety" i TVN złąły się w jeden strumień w czasie walki z PiS-em, był to jednak sojusz egzotyczny. ITI to reprezentant klasy średniej, czyli konserwatywnego, niechętnego skrajnościom nowego mieszczaństwa. Ono dziś obejmuje dominującą pozycję w establishmencie.

Młode, raczej konserwatywne obyczajowo pokolenie wypiera z "Tygodnika" starą lewicową inteligencję. Czy może być coś bardziej wymownego?

* Dr Dariusz Gawin - ur. 1964, historyk, filozof, publicysta. Kierownik Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego IFiS PAN, od maja 2005 r. wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego. Współpracuje z krakowskim Ośrodkiem Myśli Politycznej. Autor książek "Polska, wieczny romans" (2005), "Blask i gorycz wolności" (2006), "Granice demokracji liberalnej" (2007)